

KSIAZECZKA



Jan Bielatowicz



OPOWIADANIA
STAREGO KAPRAŁA



Zniesienie

— Aaaść!

Sto dwadzieścia pięć par obcasów rymnęło o siebie.

— Cznij!

Sto dwadzieścia pięć par butów z lewej nogi prasnęło w kamienną posadzkę. Kurz się nie podniósł, bo w koszarach nie ma kurzu.

— Do! modlitwy!

Zapłował, zaczerniał i zazłocił się nagle dwuszereg ostrzyżonych pałek. Furażerki posłusznie legły na baczność, orzelkami do przodu, w lewym nadgarstku.

I zaraz sto dwadzieścia pięć gardeł z cenzusem uderło się w niebogłosy: „Kiedy ranne wstają zorze...” Muchy zabzykały niespokojnie na oknach. Wielki krzyżak czmychnął pośpiesznie w kąt czeluści pajęczej.

Nim gardła zdołały pochwalić żywioł wszelki, szef Krawiec wrzasnął:

— Aaaść!

Pieśń zamarła. Na baczność śpiewać nie wolno. Nie wolno się też modlić.

Szef prawił w grobowej ciszy: — Na Kalwarię z takim śpiewaniem! Kompania szkolna śpiewa cenzusowo: szybko, głośno i daleko! Do! modlitwy!

Kompania znów trzasnęła obcasami i śpiewała pieśń poranną, na odmianę do przesady żwawo, w takt polki.

— Aaaść! — gniewnie się wtrącił szef Krawiec. — To nie bal maskowy ani majówka! Modlitwa musi brzmieć po katolicku!

Od nowa więc poleciała pieśń poranna ni tak, ni owak: trochę po kalwaryjsku, trochę jak na majówce i trochę po katolicku.

Sierżant strzygł teraz pilnie uszami, by natychmiast po pierwszej zwrotce ryknąć: — Po! modlitwie! — Codziennie przy modlitwie odbywał się wyścig chytryści. Kompania usiłowała prześpiewać drugą, a nawet i trzecią zwrotkę pieśni, byle uszczknąć choć

parę minut czasu. Szefowi zaś śpieszno było do zajęć własnego pomysłu, niezależnych od programu minutowego dowódcy kompanii.

Trafił. Zagrmiał. Ale zajęcia żadnego nie zarządził. Wycedził natomiast z wolna: — Wczoraj z powodu kąpieli nie było czasu odczytać rozkazu. Przeczytam go teraz.

Stał wzorowo na baczność jak pomnik nieznanego żołnierza, rozwierając regulaminowo stopy, musnął guziki u bluzy oraz rozporek, po czym nagłym „Aaaś!” spłoszył znowu krzyżaka, który uznał był przedwcześnie, że niebezpieczeństwo minęło, i wylazł z czeluści.

Następnie szef czytał uroczyście: — 5. Pułk Strzelców Podhalańskich. Rozkaz dzienny numer 270. Czuj!

Trrach! Muchy bzyknęły. Krzyżak wychynął z dziury i zaraz się cofnął.

— Punkt pierwszy: służba — czytał sierżant nieco spuściwszy z tonu. — Oficer dyżurny pułku: major Furgaś.

Z dalekiego lewego skrzydła wyciągniętej kompanii wydarł się nagle głos: — Jestem! — z akcentem na ostatniej zgłosce.

Szef Krawiec przerwał czytanie, spokojnie zamknął książkę rozkazów wtykając do niej gruby palec lewej ręki, powiódł wzrokiem po lewym skrzydle i taką rzecz trzymał: — Furgaś, zaraz was z łajnymi mieszam i potem ochędożę.

I ze spokojem przystąpił do dalszej części rozkazu: — Oficer rontowy i kontrolny: kapitan Kasza. Oficer inspekcyjny: kapitan Pęcak. Lekarz dyżurny pułku: podchorąży Krupa. „Dobrali się do pałasza: Krupa, Pęcak i pan Kasza” — dodał szef facecyjnie na stronie.

— Hi, hi, hi, hi — poleciało po kompanii.

Szef złożył na chwilę książkę i rzucił uwagę: — Śmiać się będziecie, jak wam odczytam mój własny rozkaz. A rozkaz pułku święta rzecz! Żadne śmichy-chichy.

Czytał jeszcze trochę, potem huknął: — Baaś! — i zakończył: — Podpisał pułkownik Dudek dyplomowany Ludwik piechoty.

— A teraz — ciągnął — mój rozkaz: Dziś tu będzie odwiedzał koszary, a już zwłaszcza izby kompanii szkolnej, zaś najbardziej ustępy, atasz francuski. Przyszła w tej sprawie z Warszawy depesza. Buty mają świecić jak lusterka, żaden ćwiek nie śmie braknąć w podeszwach, izby mają być wymiecione do czysta i lśnić się jak salony, za pyłek kurzu sąd polowy, za niedokręcony kurek w umywalni kula w łeb. A co do ustępów, nie będę już do znudzenia przypominał, że do pewnego celu służy najlepiej glancpapier albo tłuczone szkło, ale nie gazety, bo takowe zatykają dziury. Atasz ma słabość do tych rzeczy i bardzo tego nie lubi.

Nie nadaremno jest Francuzem. A teraz strzelec z cenzusem Furgaś do mnie! Reszta kompanii drużynami po śniadanie odmaszerować!

Furgaś lewym uchem rumienił się od paternoster szefa za to, że odkrzyknął, kiedy wmieniano nazwisko jego imiennika majora, zaś prawym łowił echa pieśni:

Już o piątej jest pobudka
I modlitwa bardzo krótka.

Ledwie zdołasz wciągnąć gacie,
Już na zbiórkę hulaj, bracie.

Czarnej kawy się napijesz,
O tym do południa żyjesz.

Smutna mina strzelca Furgasia mogła oznaczać żal, że minie go repeta kawy, do której miał nieposkromioną skłonność.

Furgaś od pierwszego dnia podpadł. Gdy kompania wyfasowała buty, meldował, że te, które mu przypadły, są za duże.

— Buty macie dobre — wyjaśniał szef — tylko noga za mała.

Więc drugiego dnia strzelec meldował, że ma obtartą piętę. Szef przedstawił go do karnego raportu z pouczeniem: — Furgaś, wasza noga w czasie służby wojskowej staje się własnością państwa. Uszkodziliście własność państwową. A za taki postępek idzie się w cień pod zegar wypoczywać. — (Zegar znajdował się na wieży wartowni, gdzie mieścił się areszt pułkowy). Ostatecznie jednak szef raport odwołał, a Furgaś dostał nowe buty.

Ale już coś do niego przylgnęło na zawsze. Stale mieszał protokół regulaminowy. Gdy raz szef zauważył, że Furgaś wyszedł na zbiórkę zupełnie goły, bo miał jeden guzik nie zapięty, strzelec palnął porywczo: — Ku chwale ojczyzny, panie szefie!

Wkrótce przełożeni nabrali słabości od pyzatego strzelca. Dostarczał bowiem niezliczonych przykładów, ilustrował błędy, pozwalał instruktorom roztaczać przed kompanią pawie ogony pouczeń i w ogóle stał się niezbędny jako pochyłe drzewo. Kiedy zbiórka przebiegała bez żadnych zakłóceń, zdziwiony szef zwykł pytać: — Furgaś obecny?

Zwyczajne z Furgasiem figle i udzierki zaczynały się dopiero później, nie tak zaraz od świtu. W wojsku nigdy nic się nie układa jednostajnie. Przeciwnie, służba stoi niespodziankami. Modlitwa bywa śpiewana raz przed kawą, raz po kawie, więc już na placu apelowym, przed raportem porannym. A i sam raport to wielka loteria. Niezależnie od chwytów bronią, powitania pana szefa, powitania dowódcy kompanii, czasem powitania dowódcy

plutonów, nieodłącznych części ceremoniału, co dzień zmienia się etykieta przeglądu umundurowania i oporządzenia. Pada na przykład komenda: — Pierwszy szereg trzy kroki w przód marsz! Lewe nogi podeszwą do góry! Drugi szereg prawe podeszwy!

Choć karabin nie laska, by się na nim opierać, przy tym bocianim czuwaniu na jednej nodze staje się nieuchwytnie dla oka nieodzowny.

Szef porusza się wolno i rozwija tęczy wachlarz pomysłów: — Korobiej, gdzieście to w nocy brodzili? Po gnojówce? Do raportu! Misiak, brak trzech ćwieków. Do raportu! But jest własnością skarbu, wasze kopyto też! Bałucha, z błota pod waszą podeszwą można by usypać kopiec królowej Wandy. Po raporcie pójdziecie w cień pod zegar wypoczywać i będziecie tam skrobać podeszwy na ten kopiec. A wy, Śliwonik, skąd macie te buty?

— Z magazynu, panie szefie — odrębuje Śliwonik.

— Kto wam pozwolił mówić w szeregu? Kto, pytam się? Czego nie odpowiadacie?

Śliwonik milczy tym razem jak pień.

Przegląd podeszew zbliża się ku końcowi.

— Kompaa... aaaś! Drugi szereg trzy kroki w przód marsz!

Łup, łupu, łupcup! Jak w ziemię wróś.

— Pierwszy szereg, równaj w prawo! Drugi szereg!

Szef skacze na prawe skrzydło, skąd dokona wzrokowej przy-
miarki równej linii butów, brzuchów, podbródków. Nażmudziwszy się nad ideałem równości krzywizn setki i jednej ćwiartki tułowi, wybiegnie przed kompanię, aby ją pozdrowić w swoim własnym imieniu, więc bez prezentowania broni i — ćwiczebnie — z prezentowaniem i patrzeniem na prawo. „Na prawo patrz”, jak zresztą żadna czynność w wojsku, nie oznacza bezmyślności. Na prawo — znaczy: w oczy dowódcy. Gdy dowódca przechodzi przed szeregiem, twarze żołnierskie obracają się za nim jak słoneczniki za słońcem, wyrażając bezgraniczną ufność i przywiązanie.

— Żołnierz — przypomina szef — ma mieć zawsze uśmiech dla dowódcy.

I dla celów ćwiczebnych lustruje dwusereg pilnie patrząc w oczy. Nagle staje jak wryty przed jednym ze strzelców.

— Janosz, co wy, do jasnej anielki, myślicie, że pan kapitan to zwykła ka, żebyście do niego tak beczelnie zęby szczerzyli?

I sunie dalej. Teraz już wszystkie gęby krzywią się pod spojrzeniem szefa od ucha do ucha.

Nagle od strony koszar zjawia się, jakby spod ziemi wyrósł, czyściutki, wyglansowany, wysidolowany i lustrzany dowódca kompanii. Szef krzyczy komendy. Narasta tężyzna aż do spazmu

meldunku: — Panie kapitanie, melduję kompanię szkolną na apelu porannym.

W powietrzu wisi taka uroczystość, że w drugim szeregu jakiś zuchwalec korzystając z ogólnego napięcia przedrzeźnia meldunek: „Panie komendancie, melduję galancie, stan mojej drużyny: same takie syny — pięciu na mieście, pięciu w areszcie, reszta poszła spać, i nie ma komu raportu zdać”.

Kompania wyciągnięta pod sznur. Stopy rozwarte karnie pod kątem 45 stopni, obcas przy obcasie, żołądki wciągnięte do najgłębszego schowka, podbródki lekko wysunięte ku przodowi i ku górze. Karabiny jak świece na „prezentuj broń”, bączek na wysokości wszycia kołnierza, prawe palce wykonują trochę nieprzyzwoity daszek.

Pan kapitan jakby sfrunął z nieba, staje lekko i przeżroczyście na dwadzieścia pięć kroków przed frontem kompanii, i widać, jak mu jagody nabiegają krwią jak kogutowi grzebień, zanim zapieje. W cholewach jego wysokich butów odbija się kilkanaście słońc. Pan kapitan nie nasila się, jak szef, gdy pozdrawia kompanię. Raczej tamuje rtęciową srebrzystość głosu.

— Czołem, chłopcy!

— Czołem, panie tanie! — „Tanie” jak grzmot wraca odbite od przodu, to jest od budynku dowództwa, i zderza się na placu apelowym z bliźniaczymi pogłosami od koszar z prawej i lewej flanki.

Teraz pan kapitan przechodzi przed frontem i miło mu najwyraźniej, że strzelcy szczerzą do niego zęby jak do zwykłej takiej, choć ich za to dopiero szef skarcił. Idzie, idzie, uśmiecha się, i rzuca pobłażliwe uwagi: — Lufa w lewo! — Lufa niżej! — Zpienacka krzyknie niecierpliwiej: — Karabin nie patyk! Trzymajcie go twardo!

Doszedł do ostatniej rotacji. Spojrzał na dwu najniższych strzelców z politowaniem, a może z zachętą. To się okaże w czasie ćwiczeń. Nigdy nie wiadomo: bywają dni małych, bywają też dni dużych. Najmniej jeszcze podpadają średni, chyba że wypadnie dzień średnich.

— Dajcie spocznij, szefie! — oznajmia kapitan.

Ale droga od prezentuj broń do spocznij daleka. Szef już zdążył po wczesnej przeprawie z Furgasem ochrypnąć. Zamiast: aaaś, komenderuje dlatego: — Bahuś! — A w porannym słońcu z jego ust tryska miniaturowa tęcza opadając kropelką śliny na buty.

— Uh! — stęka sto dwadzieścia pięć uderzonych kolbą dołków strzeleckich. — Prast! — bije w łędźwie sto dwadzieścia pięć prawych dłoni, zdążywszy tam „najkrótszą drogą”.

— Do nogi broń!

W sztuce chwytów bronią najpotężniejszy jest ten, który następuje po wspomnianej komendzie. Dowódcy i instruktorzy zwykli w czasie ćwiczeń wypowiadać o tym chwycie uwagę: — Nie żałować okładki karabinu ani rąk! Za rozbicie okładki tydzień urlopu, za rozbicie ręki tydzień aresztu! — By zaś chwytowi przydać niezbędnej potęgi, pozwalają przedtem lekko obluźować wyciory, aby karabin przy uderzeniu nabrał dźwięczności. Więc płask dłoni podobnie do trzasku i pojęku odłamanych konarów drzewa, a wtóruje mu jakby brzęk spłoszonych pni pszczelnych. Potem nastaje ruch niemy i matowe oparcie lufy o ziemię. Regulamin, pozwalając walić w broń co sił ciałem, zabrania uderzania nią o ziemię i martwe przedmioty.

Karabiny leżą w dołkach strzeleckich, oparte na lewej dłoni. Dowódca objawszy komendę rozkoszuje się przez chwilę muzyką i rytmią chwytów: bach — szast — prast — łup; prast — szszsz; uch — łup; trrrach — szszsz — rrrum.

Do dwóch odliczył kompanię szef już wcześniej. Kapitan komenderuje więc bez wstępów: — W czwórki w prawo zwrot! — Rzecz bardzo prosta, lecz nie w pułku podhalańskim.

Ze wszystkich materii najtrwadsza jest ziemna skorupa. Dziury w niej nie wybijesz. Ale człowiek lubi, żeby mu ziemia chociaż jęczała, o co także niełatwo. Szkolna kompania wykonując czwórki w prawo zwrot pomagała ziemi zbiorowym jękiem: — uh! „Uh” — odpowiadał budynek z frontu i echa z flanki. Lecz była to dopiero zapowiedź czegoś potężniejszego: podhalańskiego kroku na baczność.

Gdy jeden podhalanin idzie na baczność, ziemia jęczy. Gdy kompania idzie, głuży huk armat. Kiedy kompania rusza z miejsca, to znaczy stawia pierwszy krok na baczność, tylko cudem ziemia się nie rozstępuje. Nogi wyrzuca podhalanin pod kątem prostym ze stopą zwróconą równolegle ku ziemi. Korpus przy tym prosty, wzrok skierowany przed siebie, prawa ręka majta zgrabnym zawijasem do tyłu. Ale istotne jest przybicie butem, tak piękne, że wszystko w przyrodzie klaszcze pod krok podhalański.

Siła piechoty leży w nogach. Żołnierz wypowiada się nogami. Piechotę podhalańską szkoli się w tym celu przede wszystkim, aby nogi z mięsa i kości przerobić na żelazo. Stara się o to podhalanin od rana do wieczora waląc okutymi butami w ziemię, w bruk, w kamienie koszar, krzesząc iskry, tłukąc co chwila obcasami, wierzgając. Nawet komendę spocznij wykonuje żołnierz z gromkim tupnięciem.

Miło patrzeć, kiedy szkolna kompania maszeruje przez miasto i co rusz wycina pozdrowienia nogami. Miło widzieć, jak pojedynczy strzelec pozdrawia szarżę krzesząc z butów pioruny, trzy kroki

przed osobą honorową i jeden za. Ale starsi doświadczeni sztabowcy, zwłaszcza w czas słoty i chlapy, roztropnie uciekają przed widocznym z dala piórkiem podhalańskim na drugą stronę ulicy.

Już dobrze mrówki zaczynają się roić po łydkach, stopach i kolanach od tupań i przybijań, kiedy kompania opuszcza koszary. Z placu alarmowego do bramy droga strzela stromo, jak na grape. Ale pod szczytem stoi budynek dowództwa. Budynkowi należy się honor: krok na baczność. Do zmagania się mięśni żołnierskich z ziemską skorupą dochodzi teraz pokonywanie wzniesienia terenu i prawa ciążenia. Nic dziwnego, że drelichy jeszcze przed bramą koszar namakają solidnie potem.

Trud żołnierza promieniuje we wszechświat dwojako: potem i wonią. Aż dziw, gdzie się podziewa smród żołnierski, skoro go tyle powstaje w służbie i poza nią. Za maszerującym oddziałem wojska ciągnie długa i gęsta łuna. Najniżsi, ci z ostatnich czwórek, zwani kunusami, mają czegoś stale jakby opalone cery. Podobno chleb komiśny pobudza owe perfumerie. Woń jak woń — rzecz gustu. Jedno, co można zarzucić w tym zakresie wojsku, to przedziwna jednostajność. Zwykle kompanie strzeleckie, kompania szkolna, a nawet i podchorążówka nie różnią się rodzajem podniety dostarczanej węchowi, nikt by też nie rozpoznał podhalań od zwykłej piechoty, gdyby nie piórka na kapeluszu. W szczególności gęstość odoru potęguje się przy kroku na baczność.

Pot zaczyna cieknać żołnierzowi z obu skroni, tuż spod brzeżka furażerki. Niebawem mokra robi się cała głowa, potem plecy i reszta. W czasie musztry pocenie kończy się zwykle na skroniach, w czasie marszu zwyczajnie obejmuje głowę i plecy, zaś w czasie ćwiczeń bojowych oraz przy szermierce i kopaniu rowów przekracza dolną granicę pleców. Siódme poty w takich razach laskoczą rynienkę, którą natura stworzyła w celu umożliwienia odpływu cieczy. Karny żołnierz niemal bez przerwy kąpie się we własnym pocie. Pot jest dla żołnierza tak samo niezbędnie potrzebny jak powietrze. Toteż drelichy stają się wkrótce białe, pokrywając się kryształkami wypoconej soli.

Wojsko robi wszystko, aby ślady znoju ze siebie usunąć. Ostatecznie izba żołnierska nie łaźnia turecka, więc zwłaszcza na onuce nie ma rady. Ale co tydzień, najdalej co dwa, kompanie maszerują do kąpieli. Stąd nawet przypuszczenie, że kompania to oddział maszerujący do kąpania. Kompanie 5. Pułku Strzelców Podhalańskich szły zażywać rozkoszy łaźni na Zasanie, jakieś trzy kilometrki w jedną i trzy w drugą, oddając po drodze honory krokiem na baczność przed siedmioma budynkami dowództwa i półkopkiem sztabowców. Łazibny uwielbiał puszczać z pryszniców na zmianę to gorącą, to lodowatą wodę. Chciał

mieć też trochę rozrywki w monotonnej służbie. W lecie wojsko moczyło się w Sanie. Oficerowie troskliwie liczyli stany, czy aby kto nie zatonął. Groźba była poważna: żywszy nurt pod mostem łaskotał pod pachami pływaka, gdy przykucnął.

San czy łaźnia, po powrocie do koszar trzeba się było dobrze umyć.

Kompania już bachnęła na baczność przed dowództwem. Trysnęły pierwsze poty spod furażerek. Poszedł wiatr komiśny w pole. Za bramą dał pan kapitan komendę „odtrąbiono”. Mauzery przeniosły się z dołków strzeleckich na lewy bark. Dowódca zwykł w tym momencie na pół łaskawie, na pół rozkazująco oznajmiać: — Kompania śpiewa. — Od czoła się zrywa:

Pięknie wschodzi czerwone słoneczko
Ponad Przemyśl stary,
Ta — ra — ra,
Gdy szkolna kompania
W swoich trzech plutonach
Opuszcza koszary.

— Kierunek Zniesienie! — wykrzyknął rażno kapitan korzystając z przerwy między zwrotkami.

Dzielnie idą dowódcy na przedzie,
A strzelcy za nimi,
Ta — ra — ra,
Z wesołym śpiewaniem,
Z uśmiechem na twarzy
Idą na Zniesienie.

Pierwsze koguty otrząsnęły rosę z piór i dołączyły do chóru, konikom polnym jeszcze słońce nie nastroiło instrumentów. Na Zniesienie droga wcale daleka. Dość czasu, żeby odświeżyć wszystkie szyki marszowe, ułożenia broni i różne sztuczki na wypadek boju. A więc: lewa wolna, prawa wolna, środek wolny, lotnik, kryj się, kawaleria z przodu, z tyłu i z boku, na pas broń i przełóż broń, dowolny krok i równy krok, czoło wolniej i prędzej, no i — ma się rozumieć — kilkakrotnie baczność.

Kompania odświeża sobie też śpiewnik podhalański: *Idzie deszcz, idzie deszcz, idzie sikawica, Idzie od ołtarza, ledwie że kroczy, Od krzaczka do krzaczka po listeczku, Podhalańska idzie wiara z piosenką góralską w świat, Żelazna brygada (W pokrzywach, a nie w amarantach chodziliśmy na krwawy bój).*

Idą Podhalanie,
Karabinów las.

Bije od nich moc,
Jak od skalnych mas.
Oczy Podhalańców dumnie patrzą w dal,
Oczy ich potężne, oczy jako stal.
Polski bronić płyną jak lawina skał,
Nikt im się nie oprze,
Padnie wróg, jak stal.
Bo czy w defiladzie,
Czy w boju wśród luf,
Zawsze górą piąty
Podhalański huf.

Tak to sobie żywot i sławę twierdzili podhalanie, wymieniając tylko zależnie od garnizonu numerek najdzielniejszego z dzielnych hufu.

Miała kompania szkolna też swój indeks pieśni zakazanych. Figurowały na nich klasyki zwykłych kompanii strzeleckich, więc np.:

Jedna ręka odrąbana,
Jedna noga ucięta,
Przypatrz-że się, moja najmilejsza,
Jaka wojna zacięta.

Także:

Rano, rano, raniusienko,
Rano po rosie,
Wyganiała Kasia wołki,
Rozwidniało się.

Nareszcie i:

Dzielny żołnierz, ho-ho-ho!
Ma książeczkę PKO.

Repertuar ściśle podhalański dopełniały pieśni ogóln żołnierskie: namaszczone ojczyzną, miłosne, żartobliwe i takie, od których uszy wędły. W zależności od upodobań dowódców, w plutonach leciało: *Marszałek Śmigły Rydz, nasz drogi dzielny wódz*, albo *Ze wszystkich ludzi najpiękniejszy zawsze żołnierz jest*, albo zgoła frywolna *Jabłoneczka*, czy też i *Ulan na wedecie* (aż do zwrotki o pogrzebie ulana w dwu trumnach) lub *Dorotka*:

Cóżeś za to wzięła, Dorotko,
Cóżeś za to wzięła, niecnotko?
Dwa buziaki, trzy szóstaki,
Moja pani matko.

Gdy szkolna kompania opuszczała koszary, na dole słoneczko bywało jeszcze czerwone, gdy w siódmych potach doszła na Zniesienie, stawało się złote. Od kąpieli w tym złocie zaczynała się codzienna orka: łopatami strzeleckimi, kolbami karabinów i nosami. Zryte też było doszczętnie Zniesienie, las Kruhel Wielki, tereny wsi Pikulice, Bakończyce, Nehrybka i pole zwane Dematem. Stare forty podziurawione jak rzeszota od padań, czołgań, skoków. Gdy tylko pokrzywy na Demacie wybuchały wyżej metra, dowódca szkolnej kompanii, czerwony na gębę od emocji i wykrzykując: „piechota podhalańska nie zna przeszkód”, w te pokrzywy kierował kompanie krokiem na baczność. Szatkowanie pokrzyw też dobre zajęcie.

Pole ćwiczeń, jak też i ich założenie, do samego końca pozostawało słodką tajemnicą dowódcy. Dopiero za bramą koszar padał wyrok komendy: — Kompaa! w przód marsz! (to na Zniesienie), Kompaa, w lewo marsz! (to do Pikulic, Bakończyce lub na „ten Demat”). Nawet podoficerowie-instruktorzy przeważnie z góry nie wiedzieli o charakterze i miejscu ćwiczeń.

Wiedział tylko jeden człowiek: Wasyl. Kruczowłosey i krepki młójec czekał już ze swym koszykiem na kompanię w miejscu ćwiczeń. (Z czasem zaczął służyć za barometr: co będzie jutro?) W Wasylowym koszyku zalegał tylko dwojaki towar: papierosy i lepkie kołaczyki, najczęściej z borówkami. Nabywać te dobra wolno było na zezwolenie dowódcy, w przerwach między ćwiczeniami. Linia podziału konsumpcji rysowała się wyraźnie między palaczy i amatorów słodczy. Kto palił, nie jadł, kto wchłaniał słodkie kołacze, nie palił. A kto nie miał pieniędzy na jedno i drugie, ten „markował”, tak jak się głosem nieraz markowało strzały na ćwiczeniach.

Bywało, że założeniem ćwiczeń był post: wówczas dowódca pędził Wasyla. Aliści przebiegły kupiec potrafił się zawsze zacząć w jakimś rowie, gdzie się to niby odchodziło na stronę. Nie zawodził nigdy: w upał, słotę i zawieruchę.

Balet wojskowy różni się od tanecznego niedbałym i przyciężkim strojem, niby dla pokazania, jak dalece człowiek objuczony może zachować zdolność artystycznego gestu. Podkute, smarem sycone i do polysku wyczyszczone buty; plecak z cielecej skóry ze zrolowanym na zewnątrz kocem, po to, by mógł dobrze namoknąć w razie deszczu; łopata, a raczej łopata strzelecka; chlebak (wedle banalnej gadki „służący, jak sama nazwa wskazuje, do noszenia granatów”); maska przeciwgazowa; wreszcie karabin z bagnetem. Słusznie głosiła piosenka:

Ze wszystkich ludzi najpiękniejszy
Zawsze żołnierz jest,
Jak lala od stóp aż do głów...

Karabin... „Jest bronią palną, pięciostrzałową, odtylcową, o zamku czterochwytowym, symetrycznie zaryglowanym. Składa się z pięciu części: muszki i celownika, z lufy od wlotu do wylotu...” Najkwiecistsze słowa regulaminu nie zdołają w pełni wyrazić, czym naprawdę jest karabin dla żołnierza. Kiedy kompania szkolna pobrała nowiutkie karabinki, wydobyte z ciemnego łona magazynów, gdzie czekały na światło w gęstym miodzie smarów, oczyściwszy je szmatami i pakułami do sucha, stanęła na placu apelowym. Tam każdy strzelec podchodził do uroczyście sukнем pokrytego stołu, stawał na baczność i otrzymując z rąk dowódcy kompanii karabin, całował go. Wprawdzie nie u wlotu, ale za to w obsadkę. I natychmiast uczył się na całe życie numeru swojego karabinu. Osobno musiał pamiętać numer bagnetu i ochraniać na lufę. A zaraz po ceremoniale szef dokonał pierwszego przeglądu broni. Co spojrzał w lufę, stwierdzał z niesmakiem: — Pełno gówien i śmieci. Czyścić dalej!

Czyszczenie broni stało się odtąd głównym zajęciem wojskowym. Przeczyszcza się karabin po każdym ćwiczeniu i przed ćwiczeniem, w przerwie obiadowej i po kolacji, czyści się w ramach zajęć i po zajęciach, w dni powszednie i w dni szczególnie poświęcone. Czyści się broń godzinami po każdym strzelaniu, ślepym i ostrym, czyści się, gdy plucha uniemożliwia ćwiczenia, przed defiladami i przeglądami, przed świętami pułkowymi i państwowymi, w świętki i piątki.

Kępka pakul na wyciorze z trudem wchodzi do lufy. Trzeba nadto przetrzeć całutki karabin, wydłubać proch z każdej śrubki, wypucować, wyszlifować, a żadnych nie stosować forteli: ostrych przedmiotów, tłuczonej cegły, szklatego papieru: wyda się. Wtedy wkroczy rusznikarz z groźbą skarbową. Gorliwość czyszczenia zależy w ogóle od osoby, która je będzie sprawdzać: instruktor drużynowy, szef, dowódca plutonu, czy też sam dowódca kompanii, a już, nie daj Boże, rusznikarz pułkowy. Czysty zupełnie jeszcze nigdy żaden karabin w czasie przeglądu nie był. Ale lepszy niedoczyszczony niż brudny. Natomiast ocena streszczająca się w słowie: „rdza” wychodzi z ust przełożonych jak świst bicia i ściąga błądy strach na głowę winowajcy: oznacza co najmniej tydzień zakazu opuszczania koszar i meldowania się pod trąbkę w pełnym oporządzeniu.

Na wołowej skórze nie spisać cyrków, jakie żołnierz wykonuje

z karabinem. Najmniej jeszcze z niego strzela, by nie nadto sfatygować ów instrument szyku. Ostre strzelanie to wielka uroczystość i ceremonialny obrzęd. Mowy je poprzedzają, przeplatają i kończą. Na stanowisko strzeleckie z desek wchodzi żołnierz jak na szafot, świdrowany przez osiem par oczu: swojego instruktora, który pragnie, by wynik był najlepszy, dowódcy plutonu, który niby to chce najlepiej, a niby pokpiwa, szefa kompanii, który jako dobra matka nie dziwi się niczemu, nawet złemu prowadzeniu się i kiepskiemu strzelaniu, i dowódcy kompanii, który niby pokpiwa, a niby chce najlepiej. Ręce latają z przejęcia, kolba nie pasuje do dołka, podpórka z workami się rozłazi, ośmioro oczu świdruje, a tu wiadomo, że karabin znosi, trzeba odmierzyć poprawkę na oko, muszkę doprowadzić pod punkt, zgrać z celownikiem, wstrzymać oddech, pociągnąć język spustowy chytrze, bez ruchu i — wygarnąć. Boże uchowaj, gdy na tarczy pokażą „omegę”, majtając ironicznie w lewo i prawo wskaźnikiem na znak, że nie ma w tarczy dziury od pocisku. Ośmioro oczu ludzkich zmienia się w kocie. Syk, jęk, uszczypliwości: „Panu Bogu w okno”, „A twierdzi, że ma dwa fakultety” i inne zwyczajowe sentencje.

Na strzelnicy znajduje się studnia. Obok przyczajony oficer.

— Jaki wynik? — zwraca się do spragnionego strzelca.

— Bardzo dobry.

— No to się napijcie.

— A wy? — pyta drugiego.

— Nie spełniłem.

— Marsz z powrotem do plutonu. Nie ma wody!

— A wy? — pyta trzeciego.

— Spełniłem wystarczająco.

— Wypić tylko jeden kubek.

Wreszcie koniec strzelania. Powrót do koszar. Biada niefortunnym strzelcom, co nie spełnili warunków. Prócz swojej broni, niosą teraz tarcze, wskaźniki, atrapy, imadła do czyszczenia, pakuły, kubły z klejem.

Poza karabin właściwie nie wychodziło uzbrojenie i wyszkolenie żołnierza przed drugą wojną światową. Tylko starzy wiarusi zapewniali, że „kula durna, bagnet chwat” i że żołnierz więcej dokona bagnetem niż pociskiem, ale któż tam wierzy starym? Owszem, karabin — mówili — ma także zastosowanie, gdy nim wywinąć na odlew kolbą lub zamkiem w zęby wroga. Tych to cnót bojowych uczyła szermierka — popis starych szefów, a udręka strzelców. Taki szermierz w akcji zdaje się być skrzyżowaniem tańczącego niedźwiedzia z kogutem.

Bagnet to symbol honoru. Raz z pochwy wyjęty — uczono w pułku — ma być musowo wbity. Albo w serce, albo w ziemię.

Żołnierzowi nie wolno wyjmować bagnetu nadaremno. Nie wolno się też z nim rozstawać.

Ręczne i ciężkie karabiny maszynowe w drużynach służyły raczej do rozbierania na części i nauki o broni niż do strzelania. Granaty, garłacze, moździerze do jednorazowych fajerwerków ćwiczebnych. Pokaz działa i armatki przeciwpancernej, to było dla piechoty coś jak doroczny odpust. Wolno było patrzeć, ale nie dotykać. I koniec.

Wojnę, wedle regulaminów i doświadczeń bojowych, rozstrzyga dobre przedpiersie z darni, rów strzelecki, łopatką, lizjera lasu, oczyszczone pole obstrzału, sprawne czołganie, czujka i szpica. Nie tyle broń, co ręce, nogi i oczy. Także skóra, wytrzymała na deszcz i spiekotę. Oswajano więc wojsko z błotem, deszczem i kurzem. Ze wszystkich sojuszników polskiego żołnierza najwierniejsza okazała się ziemia.

Ziemia: góry, doliny, wąwozy, wykroty, skały, skarpy, groble, ugory, oraniska, miedze; drzewa: lasy, sady, krzaki, chaszcze, kartofliska, nawet trawy; woda: rzeki, stawy, strugi, źródła; deszcze i błoto; noc i gwiazdy.

— Posłuchajcie — rzekł dowódca wyprowadziwszy kompanię w pole nocą. — Mawia się: cicha noc. A wy, co słyszycie?

— Świerszcze.

— Daleki pociąg.

— Furka na drodze.

— Płacz dziecka.

— Szum drzew.

— Hukanie sowy.

— Łoskot ptaków w gałęziach.

— Rechot żab.

I wtedy kompanię obsypała wiązka wybuchających granatów. Tak to sobie obmyślił wcześniej dowódca. Skutek był piorunujący: większość strzelców rymnęła na ziemię. Tak też i być powinno.

Żołnierz winien dla swoich celów przyrodę naginać. Ona zaś, swoim prawem, się opiera. Kopiesz rów — wykop się obsuwa. Biegniesz nocą po równinie — wpadasz w rów. Las nocą — strach pomyśleć! Ludzie błędzą, bagnety i oporządzenie giną niby igły w stogu siana, ścięgni nadwerężone, guzy, sińce, krew.

Przyjdzie na młace zaryglować karabin maszynowy na nocne strzelanie. Czym?

— Nie wiecie — odpowie dowódca — czym się w wojsku wszystko robi? Kołkiem a patykiem.

Noc zmienia całkiem dekorację przyrody. Zmienia także ludzi. Przygasza jedne zmysły, wyostrza inne. Bezradny wzrok zaraża strachem słuch, wyolbrzymia każdy szmer i nawet szelest opadających

liści. Oczy z zasłony nocy wylawiają zjawy, przedziwne kształty, podstępne ruchy. Przyroda uruchamia swoje nocne dziwy: pohukiwania i łopoty ptaków, rechot i kumkanie żab, iskry świetlików.

Marsz nocą to nawet przyjemność. Dobry piechur śpi maszerując. Gorsze ćwiczenia w polu i w lesie.

Szła kompania na nocne ćwiczenia. Dowódca umyślił sobie wypróbować płochliwość jednego ze strzelców. W stronę Zniesienia leży parę wojennych cmentarzy.

— Dojdziecie — mówił kapitan — do środka cmentarza, skąd mi przyniesiecie wieniec z nagrobka. Wykonać!

Dochodzi strzelec cmentarną aleją do wielkiego grobowca pośrodku. Wytrzeszcza oczy: widzi raczkującego ducha. Biała zjawy na czworakach! Serce mu stygnie z przerażenia. Ale idzie dalej. Wtem ogromne psisko pędzi na przelaj przez groby i rzuca się na zjawę. Szarpanina, krzyk, rwetes. Zjawy zrywa się na równe nogi i ucieka.

Wtedy strzelec zdejmując wieniec z grobowca. Aliści pies zjawia się z powrotem i szarpie strzelca za spodnie. Co gorzej, wraca też zjawy, choć już nie na czworakach. Nie wiadomo, kto teraz bardziej niebezpieczny i przed kim się bronić: przed psem rozjuszonym czy przed duchem. A może pies jest w zмовie z duchem?

Niebawem jednak okazuje się, że duch się zaopatrzył w nielichy drąg, którym zaczyna okładać skomlące psisko, i odzywa się głosem kaprała Bińczaka.

Wojskowe żarty: dowódca kazał instruktorowi zdjąć bluzę i w koszuli naśladować ducha przy spotkaniu z wysłanym na cmentarz strzelcem. Kaprał z własnej pilności uznał, że na czworakach będzie podobniejszy do wilkołaka. Ale obaj — kaprał i strzelec, duch i jego ofiara — nie wiedzieli, że cmentarza pilnuje pies.

W nocy każda krowa czarna. Swojego od nieprzyjaciela nie rozróżnisz. W pokrzywy i ostrężyny wleziesz. W łajno łącno wdepniesz. Kierunek zmylisz. Marsze na kierunek z busolą w garści należą do najuciesznieszych chwil służby. Przez pola, wzgórza i lasy snują się błędne postacie, włączają w gospodarskie opłotki, szarpane przez psy, brodzą przez gnojówki, sadzawki i mokradła, trykają głowami o mury i sągi drzewa, i dopiero po świcie zbłąkane wpadają w ręce rozstawionych szeroko instruktorów. Marsz na kierunek wymaga osobnego zmysłu, i samo czytanie kątów na busoli nie wszystko rozwiązuje.

Tę jednak dobrą stronę mają nocne ćwiczenia, że ruchów i gestów ludzkich nie dojrzyć. Ćwiczenia bojowe w dzień idą ściśle podług regulaminów: ruchy, gesty, skoki, skłony, padania, czołgania i tak dalej. Noc spuszcza na to wszystko zasłonę.

Stwarza to pokusę rozprężenia. Kompania odbyła kiedyś marsz nocny z ćwiczeniami przez Pikulice i Kruheli Wielki na Zniesienie: coś ze dwanaście kilometrów drogi w pełnym oporządzeniu. Nastąpiło omówienie ćwiczeń, a wcześniej na wieczór była grochówka z wędzonką. Co dowódca wypowie jakąś strategiczną sentencję, to huk — raz z lewego, raz z prawego skrzydła. Wreszcie skończył. Utrudzony lud żołnierski oczekuje komendy powrotu do koszar. Dowódca rzeczywiście oznajmił: „koniec ćwiczeń”, żeby zaraz dodać: — Ale że się nie wszystkim moje uwagi podobały, powtórzmy jeszcze raz praktycznie to samo, tym razem bez błędów i w odwrotną stronę. Kierunek Kruheli Wielki marsz!

Biedny strzelec Bałucha podpadał zawsze skutkiem słabego głosu. Pewnej nocy dowódca plutonu rozkazał mu biegiem skoczyć za chałupę na widnokręgu i stamtąd się meldować. Bałucha jak puszczyk huczał zza horyzontu: — Strzelec z cenzusem Bałucha! — Psy jęły szczekać, kury gdakać, bydło ryczeć. A Bałucha hukął bez opamiętania. Nawet gdy kompania odmaszerowała. Bałucha był mądry, choć strzelec z cenzusem. Dostał rozkaz, żeby się meldować, to się i meldował. Cekał na odwołanie rozkazu. A póki co, siadł sobie w pachnącym ogródku, wąchał rezedę i nasturcję, rwał jabłuszka, skubał słonecznik i marzył o domu. Świtem zmiarkowawszy, że kompania odeszła, napił się ciepłego mleka z wczesnego udoju, szczyptał dojarke, zagryzł zielonym jabłkiem i ogórkiem z grędy, dał się dzieciom pobawić granatami, pochwalił Pana Boga i ujawszy po myśliwsku karabin za lufę ruszył sobie ku koszarom. Powoli, żeby zdążyć dopiero na śniadanie.

Źle trafił. Dowódca kompanii szkolnej korzystając z jakiegoś powitalnego czy pożegnalnego koncertu orkiestry pułkowej już o świcie, nakłonił kapelę do swoich celów wyszkoleniowych. Kiedy utrudzona kompania wróciła po nocnych ćwiczeniach do koszar, na placu apelowym zagrział „marsz podhalański”. Kapitan spurpurowiał i wielkim głosem wydał komendę „baczność” i wkrótce potem „Defilada w prawo! Na prawo patrz!” Zrazu biegał wkoło kompanii jak owczarek za kierdelem owiec, potem obciągnawszy mundur stanął przed orkiestrą i odebrał defiladę. Nie raz. Pięć albo sześć razy.

Bałucha wpadł jak śliwka w kompot. Musiał defilować. I stanąć do raportu za samowolne opuszczenie oddziału.

Dni były jednak trudniejsze niż noce. Powiedzmy: ocena odległości. — Ile będzie, strzelec Kurzeja, do tej przykopki po drugiej stronie wąwozu? — pyta kaprał.

— Trzysta metrów!

— No to marsz tam, Kurzeja, zmierzcie krokami odległość. Słońce praży niemiłosiernie, a strzelec Kurzeja liczy kroki w dół

przez wygon, brnie przez bagno w wąwozie, liczy dalej, pnie się po stromym stoku w górę, liczy. Wraca zziębnięty.

- Ile metrów, Kurzeja?
- Panie kapralu, melduję posłusznie trzysta z okładem.
- Z jakim okładem?
- Drugie trzysta.

Albo natarcie, ale takie szkolne, z całą uroczystością: dojście do postawy wyjściowej, skoki plutonami i drużynami, zmiana stanowisk, szturm z bagnietem na broni i z językiem po pas i z wrzaskiem „hurra!” Przy tym wszystkie formuły bojowo-towarzyskie: powtarzanie rozkazów po linii, wymiana grzeczności: „Ty rób skok, a ja strzelam”, określanie celów: „Przed nami dwieście metrów drzewo, dwa palce w lewo główka, do tej główki cel”.

- Przed nami drzewo... dwa palce w lewo...
- Drużyna, ognia!

No i gruch ze ślepaków. A rkm, a garłacz, a amunicja, a kopanie łopatką, a maska gazowa, a meldunki z pola bitwy. Panowie instruktorzy nieśmiertelni, oni chodzą sobie w ogniu i tylko podpatrują, kto należycie pada na ziemię, nie ryje karabinem w piachu, nie zadziera kopyt do góry, zrywa się tak, żeby go nieprzyjaciel nie dostrzegł. Mały figiel, a skok trzeba powtórzyć; źle się podczołgasz, stanie ci zaraz nad karkiem dowódca i dla celów szkolnych każe wykonać pełzanie klasycznym stylem z karabinem w obu dłoniach, aż serce zatknie gardło. Wypadną ci osty po drodze albo żwir, czy co gorszego, padnij! Wypadnie bajorko, padnij i przepłósz żaby! Pszczoła ci wlezie za kołnierz, nie daj Boże zdradzić stanowiska! *A kto chce rozkoszy użyć, niech do wojska idzie służyć...*

Wyszkolenie wojskowe polega na tym, żeby z najmniejszej cząsteczki duszy i ciała ludzkiego wymieść cywila, a na to miejsce w całym ciele i duszy osadzić żołnierza. Żołnierz musi nabrać przekonania, że nie należy do siebie, że nie wolno mu niczego ze siebie zachować na własność. Z chwilą powołania do służby ma obumrzeć w nim jedna natura, a narodzić się inna. Szczęśliwy, kto umiał rychło zrzucić z siebie skorupę cywilną. Biada zazdrośnikom, skrywającym w sobie resztki pierwotnej natury.

W wojsku dowie się rekrut, że wszystko, co dotąd robił, myślał, czuł i mówił, było tylko misterną siecią przeszkód, by się nie stał żołnierzem. Weźmy głos: w wojsku nie trzeba mówić, ale krzyczeć; nie odzywać się, lecz posłusznie a głośno meldować; nie pytać, lecz posłusznie zapytywać. Nie chodzić, lecz przytupywać. Nie iść, lecz maszerować. Nie myśleć, tylko słuchać. Nie ubierać się, lecz dbać o sylwetkę żołnierską. Nie wstawać, tylko się zrywać.

Jeść, spać, myć się – wedle regulaminu. Pośpiesznie, na tempo, na rozkaz. Budzić się i zasypiać na rozkaz. Każdą myśl poświęcać służbie. Nawet odpoczywać służbowo.

Na to, by sprawdzać zupełne oddanie służbie, mądry regulamin i przezorni przełożeni przewidzieli tysiąc sposobów, a drugi tysiąc mają w zanadru. Oczywiście, ciało łatwiej sprawdzić niż duszę, ale dusza odbija się w ciele. Na ten przykład: w brudnych nogach. Ileż przebiegłości wkłada żołnierz w to, aby się myć najrzadziej, a mieć nogi najczystsze. Ileż wymyśla forteli, aby uwagę przełożonych od nóg odwrócić, a wzrok omylić. Nie tylko od nóg: od porządku w szafce, od kostki, ułożonej na noc z munduru, od śmieci pod łóżkiem, od kantów i gładziny siennika (na kancie siennika przełożeni mają zawsze pragnienie zranić się, a na sienniku radzi by wypróbować, czy się po nim rozleje woda jak po stole), od bielizny, od butów, od broni, od tysiąca rzeczy.

Godzina dziesiąta wieczór. Gaszenie światel. Wojsko śpi, równo oddycha. Dyżurny sali zdał już raport.

Podoficer służbowy-instruktor tu się wywrócił na belce, czyli na żdźble słomy, tam kostkę nazwał kupą, rozkazał wstać żołnierzowi i strzelić nią bramkę pod łóżko, ówdzie podniósł koc i rychło spuścił, nawet nie zdoławszy sprawdzić, czy nogi umyte.

Cisza. Tylko amatorzy humoru obrzucają się dowcipami. Jakiś chytrus skrycie pojada dobra, jakie otrzymał w paczce z domu, co zataił, a co teraz na jaw wychodzi dzięki muzycznej gębie. Słychać pierwsze zachrapy, westchnienia, narastające nocne hałasy. Powietrze tężeje. Nagle błysk latarki: na salę wszedł dowódca kompanii. Regulamin nie pozwala na zapalanie światła. Regulamin przewiduje sen, a nie meldowanie, czy tym bardziej zajęcia. Regulamin natomiast przewiduje przegląd czystości i rozkaz natychmiastowego doprowadzenia do niej żołnierza. Kapitan idzie od łóżka do łóżka. Za nim podoficer służbowy. Najpierw – buty.

– Błoto! Wyrzucić za okno! – pada rozkaz dowódcy przy pierwszej parze.

– Lewy but bez ćwieków! Za okno! – przy drugiej parze.

– Prawy but, jedno świństwo! – przy trzeciej parze.

– Wstręt bierze! – przy czwartej.

– Wyrzucić? – upewnia się kapral.

– Ma się rozumieć!

– Ohyda! Potworność! Paskudztwo!

Za okno, w ciemność nocy leci piętnaście pełnych par butów, dziesięć z prawej i pięć z lewej nogi.

Teraz kolej na nogi. Najłagodniejsza ocena brzmi: – Prawie jak

u świni — Dwadzieścia pięć par nóg posłał dowódca pod kran. Kto odważny, nie mył.

Potem na bosaka, z czystymi już nogami, trzeba biegiem odnaleźć własne buty w prochu dziedzińca za oknami. Potem je natychmiast oczyścić do połysku.

Rozsądni mówili: — Ustawmy na baczność pod łózkami po dwa byle jakie buty, a jutro rano je sobie dopasujemy.

Ze względu na spóźnioną porę radę przyjęto jednogłośnie. Nagle alarm. W mig trzeba stanąć na placu apelowym w pełnym oporządzeniu, z plecakiem, przytroczonym kocem, płaszczem, menażką, przyborami do szycia. Wszystko furda, tylko te buty. Szczęśliwy, kto wtłoczył stopy: jedną do numeru osiem, drugą do piętnaście.

Nic się w wojsku nie dzieje przypadkiem. Tej nocy plan przewidywał brudne nogi, nie oczyszczone buty i alarm w źle dopasowanym obuwiu, aby wojsku uświadomić, jakie to złośliwe figle może płać rzeczywistość wojenna. Ale na ćwiczenia kompania nie wyszła.

But otacza się dlatego w wojsku tak pieczołowicie troską, bo but jest podstawą wszelkiej myśli militarnej. Toteż śmiało można mówić o wojskowym kulcie buta. Buty w wojsku czyści się jeszcze częściej niż karabiny. Pastuje się je i czyści za własne grosze z żołdu, aby wyrobić tym intymny i serdeczny stosunek do butów. Kompania szkolna pastowała i glansowała nawet podeszwy i obcasy. Od buta zależy zdrowie i humor żołnierza. Źródło klęsk i zwycięstw spoczywa w butach. Karabin zabiorą, w bucie idzie żołnierz na wieczny spoczynek. Umrze w butach.

Historia da może kiedyś odpowiedź, dlaczego koszary 5. Pułku Strzelców Podhalańskich nie rozsypały się jak mury Jerycha od zwartej musztry oraz od chóralnych odpowiedzi na pozdrowienia i pochwały. Ale żadna nauka nie odpowie, jak się to działo, że pogadanki wychowawczych słuchały kompanie z otwartymi oczyma, chociaż pogrążone całkowicie w drzemce. Gdy nagle dowódca huknął „baczność!”, z ławek zrywała się zaledwie garstka słuchaczy. Reszta spała snem sprawiedliwych, co, rzecz jasna, powodowało nieprzyjemne uwagi i zlecenia dowódcy. Kto narowicie sypiał, musiał słuchać wykładów stojąc. Niedogodność tej postawy powiększała wojskowa zasada, że myśl najbardziej chłonna jest po dobrym żołnierskim obiedzie.

Ale i bez obiadu myśl w mundurze pracuje leniwie i ospale. Toteż geniusz militarny wymyślił regulaminy i odpowiedzi gotowe z góry na wszystko, aby nie nadwierać niepotrzebnie głowy. Niby to żartem, ale i na serio żołnierz powinien odpowiedzieć na pytanie: — Co żołnierz pod łóżkiem ma mieć?

- Zamiecione.
- Na czym żołnierz stoi?
- Na straży granic Rzeczypospolitej.
- Do czego ma bronić ojczyzny?
- Do ostatniej kropli krwi.
- Z czego składa się karabin?
- Z drzewa i metalu.
- A bagnet?
- Z tego samego materiału.

Wszelkie przeinaczenia, upiększenia, własne słowa byłyby błędne. Nie należy jednak poważnych pytań mieszać z żartami w rodzaju:

- Co kapitan trzyma (trzy ma)?
- Gwiazdki na naramiennikach.

Narody wychowują nauczyciele szkół powszechnych, a armie instruktorzy-podoficerowie. Wyszkołenie, charakter, obyczaje, a nawet język czerpie żołnierz na całe życie z tej to nieprzebranej krynicy wychowawczej.

Zła sława otacza „język koszarowy”. Słownik to, owszem, osobliwy, wyszukany, dosadny, ale niczyich uczuć ni godności osobistej nie raniący. Natomiast prawdę rąbiący w oczy bez ogródek. Ażeby, na przykład, rekrut wiedział, kim jest, musi przyjąć do wiadomości, że kapral-instruktor to tak wysoka szarża, że po nim długo-długo nie ma nic, potem góra, las, łopata strzelecka, śmierdząca onuca i dopiero za tym wszystkim strzelec z cenzusem. No i prawda. Bo niby jak inaczej ten olbrzymi dystans wyrazić?

Któż by zresztą mógł czuć urazę wobec szczerości instruktorów, widząc, ile serca i sił w rzecz swą wkładają?

Miewali instruktorzy chwile miękkości. Kapral Foremny razu pewnego, zamiast jakiegoś nudnego ćwiczenia, dał rozkaz: „Kryj się, lotnik!” Na drodze zaś na wszelki wypadek wystawił obserwatora na nieprzyjaciela.

- Skurzymy się, chłopcy?
- Rozkaz, panie kapralu.
- Podobacie mi się: macie takie równe pyski. A który tu jest absolwentem ód wódki?

Adam Pardwi był i przyznał się.

— To musicie oplewać w grosze. Chyba że was kosztują dziewczynki.

- Gdzie tam, panie kapralu, dziewczynki w Przemyślu...
- Są, są. U Dziunia za mostem. Ale to buda. Nie zalecam.

Po czym melancholijnie dodał: — Powiem wam prawdę, że z żołnierzem żadna porządna nie pójdzie. Choćby zajmował najbardziej poczytną funkcję. Nie poleci nijaka nawet na piórko podhalańskie. Co prawda, to nie grzech.

I zamilkł. Smutno się nagle wszystkim zrobiło i żal pana kaprała, że był dziobaty. A on miał jeszcze inny smutek na sercu, który też zaraz wyjawiał: — A jak was wymianują oficerami, to mnie żaden nie pozna. No, jeszcze po jednym i trochę pomarkierujemy.

Kapral się wzruszył, ale wziął drużynę za serce. Żeby nie myślał, że dowodził absolwentami od wódki, na najbliższą sobotę otrzymał zaproszenie „Pod Wieżę”.

Utartym zwyczajem drużyny robiły wypadły na miasto w szyku luźnym, ale zawsze wspólnie. „Pod Wieżę” każda miała własny stolik w niedzielę. Sam pan Brelik przynosił kartę i odbierał zamówienia. Po tygodniu koszarowego wiktury wybór nie był łatwy. Drużyna łakomie pochłaniała oczyma wszystkie dania w jadłospisie. Najdłużej czynił to Adam Pardwi, ale z góry było wiadomo, że z oszczędności zamówi kielbasę na widelcu z chrzanem i doda: „ale bez wódki”. Chleb do dania szedł za darmo.

Reszta drużyny zwarenie zamawiała, a to czystą, a to wiśniówkę, to znów piwo lwowskie, lub — aż wstyd powiedzieć — ostrowieckie, a po temu przeważnie kotlet wieprzowy z kapustą, byle tłusty. Doświadczeni smakosze chodzili do Buca przy moście, kędy wszelako ta się wylaniała niedogodność, że lokal był nawiedzany przez licznych w garnizonie sztabowców. Toteż co i rusz trzeba się było od talerzy odrywać prężąc się jak struna, a do tego wypatrywać najstarszego rangą oficera, aby go prosić o pozwolenie pozostania w lokalu. Raz dobroduszny jakiś pułkownik rozkładając ręce rzekł: — Panowie, przecież to nie mój lokal!



Niedziela w koszarach była całkiem inna niż dni powszednie. Pobudkę trąbiono o godzinę później. Mocniej jednak od trąbki brzmiał głos przyzwyczajenia, więc nikt tej godziny nie dosypiał. Kawa za to była z mlekiem. Szef Krawiec kładł mocny nacisk na pobożność. Od rana oglądał buty i guziki. Gdy już kompania stała na placu apelowym, najpierw rzekł: — Ewangelisci na lewe skrzydło! — Gdy tam stanęli, zwrócił się do nich: — Co do was jeszcze diecezja nie zapadła, więc zostaniecie w koszarach.

Po czym z lubością przystąpił do okolicznościowej mowy: — Pod kościołem już czekają tłumy panien. Ony czekają specjalnie na kompanię szkolno. Wiem, co mówię, bo jeźdźcem przemyski. Przemyślanki o niczym innym przez cały tydzień nie myślały, tylko żeby poszpanować na chłopaków ze szkolnej kompanii. — Dalej szła obszerna instrukcja, jak stanąć na wysokości zadania, żeby przemyślanki nie doznały zawodu.

Nie martwiły szefa przepecone drelichy. — Pot jest — mówił — ozdoba żołnierza. — Klucz natomiast do serca przemyślanek upatrywał w lśniących butach. Wystarczało jednak przejść plac apelowy, aby na lustro wypucowane buty pokrył gęsto kurz. Ogólnie przyjętym sposobem kurz ten wycierało się później w nogawki.

Aby się żołnierz na śmierć nie zanudził, parę godzin niedzielnych poświęcało się porządkowaniu rejonów. Znalezione na izbie słomkę z siennika wynosiła drużyna poza bramę koszarową na kocu, trzymanym za cztery rogi przez czterech strzelców, przy żałobnym pieniu towarzyszącej tej ceremonii reszcie drużyny.

I dopiero po obiedzie można było skorzystać z przepustki na resztę dnia. Byle zameldować powrót o godzinie dziesiątej. Służbiści instruktorzy przyczajali się na ten moment. Jeden jak anioł z mieczem ognistym u wrót raju stał przy stoliku służbowym z zegarkiem w ręce, inny w ciemnościach u bramy chwycił tych, co w pośpiechu i po wódce zapominali oddać honor. I gdyby nie długie piórko, nikt by pewnie nie zauważył przyczajonego kaprała.

Upały sierpniowe dawały się we znaki. Coraz więcej było w wojsku gadania, a coraz mniej biegania po bruzdach. W cieniu drzew szły gadki o wojnie.

Kapral Żelazny zapytał raz żartem pluton:

— Co byście zrobili, mając czołgi z przodu, z boku i z tyłu? Pomysły sypały się z rękawa.

— Powiem wam — przerwał kapral — co ja bym dał za komendę: „w kozły broń” i „do modlitwy”.

Innego zdania był dowódca kompanii. — Nie wiercie, chłopcy — prawil — w żadną wojnę. My do Gdańska mamy sześć dróg, a Niemcy tylko jedną. Na Westerplatte jest tyle materiału wybuchowego, że zdetonowany może obrócić w proch i w pył cały

Gdańsk. A te ich czołgi – śmiech zupełny! Czołg jest najpierw ślepy, potem chromy, wreszcie powolny. Zobaczcie, co się dzieje z czołgiem na błocie. Będzie się kręcił jak karuzela. Więc my o czołgi przy naszej pogodzie możemy być spokojni. Zresztą, rzecz najważniejsza: Polska nigdy w historii nie przegrała wojny z Niemcami. Nie może więc przegrać i teraz. I Niemcy o tym dobrze wiedzą.

Potem się zaczęła mobilizacja. Kapitan zmienił zdanie. Mówił wprawdzie nadal, że wojny nie będzie, bo Niemcy się nas boją, ale że bądź co bądź trzeba się przygotować.

Nie piorun strzelił w południe dnia trzdziestego pierwszego sierpnia w wartownię koszar 5. Pułku Strzelców Podhalańskich, ale kapral Piękny krzyknął: „Baczność”! Spłoszył gołębie, od których wodotrysku buchnęło ciepłem, ziarnem i nawozem.

Kiedy kapral krzyczał, wystąpiwszy przedtem pół kroku w przód i zarazem w prawo, w pobliżu kręcił się oficer, udając, że niczego nie spostrzega, jak aktor, któremu jeszcze nie czas wyjść z kulis. Po tym „baczność” szybko rozdeptał dopiero co zapalonego papierosa, obciągnął pośpiesznie mundur i ruszył gibkim krokiem przed wyrównany jak strzyżony żywopłot oddział.

W czasie gdy oficer wchodził na scenę, dudniły jak echo gromu w górach dalsze wielokrotne komendy:

- Na ramię broń!
- Prezentuj broń!
- Na prawo patrz!

Żyłasty mlask rąk, walących w drzewce karabinów, spłoszył resztę gołębi.

Kapral zaś cofnął się do szeregu i waląc wielokrotne młynki dłońmi, czyli to samo robiąc, co przed chwilą działało się na jego komendę, wydukał jak kukłka w staroświeckim zegarze:

– Panie poruczniku, kapral Piękny melduje się posłusznie jako dowódca oddziału wyznaczonego do pełnienia służby na forcie Łętownia, w składzie: jeden plus jeden, plus dwóch, plus dwunastu. Wartę wystawia kompania szkolna. Obowiązki znam.

– Dajcie baczność, spocznij!

Kapral, jak tancerz w balecie, najpierw wykonał sam szereg płynnych jak wodosпад trząsków, chwytów i ruchów, po czym wykroczywszy pół kroku w przód i w prawo, krzyknął tak, że gołębie ponownie poderwały się w powietrze.

- Baczność!
- Na ramię broń!
- Do nogi broń!
- Spocznij!

Oficer wezwał do siebie kaprala. Gadali ze sobą długo i poufnie,

jakby sobie zwieriali skryte tajemnice. Gołębie znowu ufnie poprzy-siadały na dachach, rzucając ziarnem kukurydzy.

Po zakończonej rozmowie kapral schował gorliwie i pośpiesznie do górnej kieszonki drelichu papierek, strzelając przedtem oczyma wkoło, czy kto nie podpatruje tej doniosłej czynności, i przechyliwszy regulaminowo karabin przez lewe ramię. Dostał bowiem ni mniej, ni więcej tylko hasło i odzew na noc najbliższą. Dostał najwyższego wtajemniczenia.

Teraz oficer skinął na podglądającego z wartowni czerwonego jak pomidor szefa i razem z nim zbliżył się do szeregu żołnierzy. Wyjęty przez szefa notes zapowiadał spytki ze znajomości regulaminu służby wartowniczej. Szef miał złe odpowiadających „brać na papier”.

– Powiedzcie mi, wy... – wskazał palcem oficer na strzelca.

– Strzelec Bałucha.

– Powiedzcie mi, strzelec Bałucha, co to jest służba wartownicza?

– Jest to najzaszczytniejsza służba, jaką żołnierz może pełnić w czasie pokoju.

– No, ujdzie. Ciągnie się, Bałucha! Wojna blisko!

Bałucha rozmyślał śpiesznie, czy huknąć „ku chwale ojczyzny” za pochwałę, czy nie huknąć z powodu zastrzeżenia. Nie huknął ostatecznie.

Oficer już podszedł do następnego.

– Patrzcie mi w oczy!

– Strzelec Cyrulik.

– Cyrulik, do cholery, żołnierz zawsze patrzy w oczy: dowódcy i śmierci. Jak nie popatrzy dowódcy, nie popatrzy i śmierci.

– Tak jest, panie poruczniku! – odwrzasnął Cyrulik przesadnie głośno, aż się gołębie na nowo zerwały. Nie powinny zadomawiać się w koszarach te ptaki pokoju.

– Cyrulik, co to jest wartownik?

– Żołnierz czekający na zmianę.

– Wy, Cyrulik, skąd?

– Z Katowic, panie poruczniku!

– Z miastaście... Szefie, trzy dni zet-o-ka.

– A wy?

– Strzelec Skoczypiec.

– Skoczypiec, kiedy żołnierzowi wolno strzelać?

– Na wojnie i na strzelnicy, panie poruczniku.

Oficer zdębiał. Szef łypnął przekrwionym okiem.

– Szefie, zapisać go za rdzę na karabinie. Odpocznie w cieniu pod zegarem i powtórzy sobie regulamin służby wartowniczej. Kto zna regulamin, nie zginie na wojnie. Wojna to regulamin.

Ceremonia odprawy warty trwała jeszcze długo, jak przystało

na najzaszczytniejszą służbę żołnierza w czasie pokoju, podobno przypominającą wojnę, aż nareszcie wśród trzasków, chrzęstów i warknięć padły dwa najpiękniejsze słowa, jakie żołnierz może usłyszeć w czasie pokoju: „Służba wartownicza”. Trębacz nie odegrał przewidzianego w regulaminie hejnału, bo nie było trębacza. „Nie ma wojny bez trąbki”, ale w czasie pokoju można się od biedy bez niej obejść.

Oddział wartowniczy pobrał jeszcze przed wymarszem rower, którego nie wolno było używać bez wyraźnego powodu, i duży kociołek z jadłem dla psów fortecznych. Strzelec Skoczypiec za to, że nie wiedział, kiedy żołnierzowi wolno strzelać na warcie, dostał do prowadzenia roweru i do niesienia kociołka z jadłem. Za to mógł sobie karabin przewiesić przez plecy.

Oddział wyruszył obstukując na baczność budynek dowództwa. Czekal go marsz dwunastokilometrowy. Kapral dowódca płynął przodem jak koń Farysa. Dla wprawki zaraz za bramą podał „baczność”, ale już po kilku dalszych krokach nawinął się prawdziwy oficer sztabowy i trzeba było wykonać defiladę w prawo. Oddział maszerował w obfitym kurzu polskiej ziemi, witany z chodników, bram i okien rozpalonymi oczyma, jedynymi diamentami w tym kraju. Oczy ślizgały się po przemyskich fortach, zielonych jak młodość, i po diamentach oczu, odprowadzających podhalański huf ku najszczytniejszemu zadaniu w czasie pokoju. A San tego roku płynął złotem.

Skoczypiec na próżno usiłował z drelichów strzepnąć lepkie jadlo z kociołka dla psów, które chlupało gęsto przy defiladach. Wkrótce też był mokry od stóp do głów, nie tyle z wysiłku, co ze strachu, że jeszcze parę defilad, a doniesie na fort całkiem pusty kociołek.

W samo południe oddział dotarł do Łętowni, wokół której San oplatał złotą obrączkę. Powitanie i pożegnanie zmieniających się oddziałów wartowniczych trwało jeszcze dobrą godzinę, aż wreszcie Skoczypiec mógł zrzucić strach z serca i resztki jadła z kotła. Ale psy wcale nie pokwapiły się ku nieckom. Było im widać zbyt gorąco.

Wartownicy zmieniali się regularnie. Goniec pobiegł już dawno do pobliskiej zagrody zamówić sto sześćdziesiąt pierogów — po dziesięć na głowę. Kapral w tym czasie zasiadł na wartowni do kart. Uwielbiał budowanie z nich domków. Mógł tak stawiać piętro na piętrze godzinami bez znudzenia. A tak umiał karty wyszykować, że jeszcze stojąc sięgał ręką do coraz wyższych pięter.

Tymczasem dla nawiązania łączności wyszedł z Łętowni patrol na sąsiedni fort Orzechowce. Dwu strzelców, zwykły i starszy, szło drogą wśród ścian gęstego lasu. Próbowali rozmawiać, ale nocą w gęstym lesie rozmowa się nie klei. I jakoś tak było nijako.

Słuchali trzasków po gęstwinie. Przystanęli na oblanej księżycem polanie, bo z krzaków doleciało jakby skomlenie czy płacz. I zaraz rzucił się ku nim w olbrzymich susach ogromny pies o błyszczących ślepiach. Nim zdolali uskoczyć, pies wspiął się kolejno obu żołnierzom na piersi i przymilnie polizał ich twarze. Pod dotknięciem ręki kulił się drżąc. Potem towarzyszył patrolowi w dalszej drodze. Przepadł na chwilę przed Orzechowcami, ale znowu się zjawiał, gdy strzelcy wracali. Krążył gęstwiną i budził piski, jęki i szamotania.

— To jest zbieg z fortu — rzekł nagle tonem odkrywczym jeden ze strzelców. — Psy jak ludzie: czują to samo, ale o wiele lepiej przeczuwają. Widać węższy jakieś zło albo nieszczęście i chce wrócić do ludzi.

Szli w milczeniu. Robił się świt. Nagle pies usiadł na środku drogi w poprzek marszu żołnierzy, jakby ich chciał zatrzymać, zadął pysk ku ciemnej stronie nieba i zaczął wyć, aż skóra cierpła.

Ze strony wschodniej doleciał z daleka płacz. Na bardzo dalekim widnokręgu zaczerwieniały błyski drobne jak biedronki.

Robiło się całkiem jasno. Jeszcze jednak słońca nie było na ziemi, choć już oblewało ono lecące z zachodu samoloty. Płynęły wolno, a nad fortem Łętownia zakolowały dostojnie. Wówczas ciszą poranka targnął przeraźliwy wybuch.

Pierwszą ofiarą nalotu nieprzyjacielskiego na Przemyśl był potężny, sięgający prawie sufitu wartowni Łętownia, domek z kart dowódcy warty.

Gdy dwaj patrolowcy weszli na wartownię, by zameldować swój powrót, już u nóg dowódcy warty kulił się drżący pies. Zanim dłoń dowódcy patrolu zwinęła się w kulkę i nim dwa palce dotknęły rąbka furażerki, pochylił się on i skrzętnym ruchem pośpiesznie zebrał rozrzucone karty.

Jakby w pokłonie dla żmudnej i niewdzięcznej sztuki budowania domków z kart.

